№ 20. Warszawa, dnia 2 (14) Maja 1887 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26 nowy.

SYLWETKI LITERACKIE.

przez

T. J. Choińskiego.

I.

Eliza Orzeszkowa.

Ćwierć wieku prawie minęło od chwili, kiedy beletrystyka polska weszła na inne tory, zupełnie do dawniejszych niepodobne. W co romantycy wierzyli, to wyszydzili pozytywiści, co... serce kochało, to potępił rozum.

Główną przedstawicielką tego nowego kierunku, jest w powieści polskiej Eliza Orzeszkowa, autorka kilkudziesięciu tomów, osnutych przeważnie na tle społecznem.

Cały program tej nowej szkoły literackiej widzimy już w pierwszej większej powieści Orzeszkowej w „Ostatniej miłości".

Koleje żelazne, woła autorka na samym wstępie tej powieści, urocze to słowo. Magiczny to wyraz, zamykający w sobie dbały o dobrobyt materyalny i umysłowy wzrost ludzkości, myśl XIX wieku. Przestrzenie znikają, narody rozrzucone po różnych krańcach ziemi, łączą się węzłem wzajemnego poznania się i wspólności interesów; ludzie, pracujący nad dobrobytem, z szybkością błyskawiczną, rozsełają po świecie płody swego przemysłu, a podróżni liczni, spragnieni wszechstronnej, w różnych sferach rozwijającej się wiedzy, w krótkim przeciągu czasu mogą stanąć między murami wspaniałych stolic i u stóp gór niebotycznych.

Chyba tylko jaki w tłumie zabłąkany poeta, dodaje Orzeszkowa, cicho westchnie za błogosławionym dla eterycznych dusz czasem, w którym nie świstały lokomotywy, ale prozaiczne dusze czasów dzisiejszych, wolą w objęciach pary unosić się z miejsca na miejsce, w pogoni za wiedzą, bogactwami i użyciem, niż doić krówki, lub wić girlandy, z róż, lilii i tymianku.

Z zapałem i nieostrożnością młodości odsłoniła Orzeszkowa odrazu cały program nowego kierunku. „Prozaiczne dusze czasów dzisiejszych wolą w objęciu pary przenosić się z miejsca na miejsce, *w pogoni za wiedzą, bogactwami i użyciem* i t. d.", prawi autorka, lekceważąc dawniejszych „marzycielów", którzy nie ubiegali się za dobrobytem i nie wierzyli zbytecznie rozumowi.

Nie wyjownicy, rycerze, poeci, artyści i obywatele szerszych rozmiarów wcielają w powieściach Orzeszkowej te „nowe hasła", jeno ludzie uczeni lub praktyczni.

Głównym charakterem dodatnim w „Ostatniej miłości" jest Stefan Rawicki, inżynier, w „Z życia realisty" gra przednią rolę młody dyrektor fabryki, Zygmunt; w „W klatce" szamocze się lekarz; „Na prowincyi" jaśnieje przyrodnik Andrzej, kolega ojca Wacławy („Pamiętniki Wacławy"), który jest także „naturalistą". Wesołe teorye („Wesoła teorya i smutna praktyka") wygłasza znów lekarz, dr. Władysław; dzielnością odznacza się w „Rodzinie Brochwiczów" kupiec, właściciel małego sklepiku, Stefan Siciński, a w „Maryi" handlarz drzewa, Michał Iwicki.

Od dawniejszych bohaterów żądano, aby się wychylali z pośród wielkich mas istot pospolitych czy potęgą uczucia, czy niezwykłością charakteru, Orzeszkowa zaś stara się jedynie o typy ludzi przeciętnych. Jej ulubieńcy są ludźmi pracowitymi, uczciwymi, „porządnymi" ze wszech miar, nie mają oni nic wspólnego z Romeami, Konradami i Faustami.

Zdawałoby się, że autorka, która widzi w wiedzy zbawienie ludzkości, stworzy choćby jednego bohatera nauki, a przecież nie są jej uczeni kapłanami myśli. Nauczyli się oni jakiegoś fachu chlebodajnego, za którego pomocą zdobywają sobie wybitne stanowisko i majątek. Nie ma między nimi

filologa, filozofa, historyka, estetyka, nie ma człowieka, któryby żył jedynie dla nauki, bez względu na wypływające z niej korzyści materyalne. Żadna z jej „uczonych“ nie walczy z niemocą rozumu ludzkiego. Nie przechodzą oni różnych odcieni rozwoju, od bezwzględnej wiary lat dwudziestu począwszy, a skończywszy na pobłażliwości dłuższego doświadczenia. Są to przeważnie ludzie praktyczni, posługujący się nauką, jako środkiem. Nie ma między nimi ani talentów, ani „męczenników myśli“. Orzeszkowa nie stworzyła prawdziwego *bohatera* wiedzy, któryby poświęcił dla niej widoki osobiste, któryby głodny i poniewierany w młodości, wyszydzony i zdeptany w wieku dojrzalszym, szedł przez świat z pogardą wygód i zaszczztów tej ziemi, wpatrzony jedynie w swą gwiazdę przewodnią, w... daleką prawdę.

Samą wiedzę pojmuje Orzeszkowa nadzwyczaj jednostronnie, nazywa bowiem matematykę i przyrodoznawstwo „istnienie i jego warunki“ („Ostatnia miłość“) najpiękniejszemi z nauk. Dla umiejętności humanistycznych nie znalazła ani słówka uznania, nie rozumie zupełnie ich znaczenia. Bo wiedza to „niebezpieczna“, a przedewszystkiem niepraktyczna. Nigdzie też nie spotykamy w jej licznych powieściach, umysłu zaniepokojonego zagadką wszechbytu, dręczonego tajemnicą, pokrywającą przyczynę przyczyn. Bohaterowie jej, zajęci wykonywaniem swych zawodów, staraniem o dobrobyt lub o bogactwa, nie mają ani czasu ani ochoty do zastanawiania się nad ostatecznemi celami ludzkości i jednostki, do wnikania w głąb duszy, do „rozmowy z Bogiem”, z przeszłością choćby. Pozytywni to mężowie, wpatrzeni w ziemię, niepodnoszący tęsknego wzroku do nieba. Jeźli cierpią, to tylko dlatego, że ominęło ich szczęście osobiste, po które sięgali. Fausta, don Carlosa, Konrada i tym podobnych „narwańców“ ochrzciliby bez wątpienia mianem szaleńców.

Więc uczonym jest podług Orzeszkowej matematyk i przyrodnik, najpożyteczniejszym obywatelem ekonomista, przemysłowiec, kupiec, a największym dobrodziejem ludzkości... inżynier.

— Inżynier, panowie —woła Rawicki w „Ostatniej miłości“ — to ludzkość cała w swych dążeniach nieprzepartych ku wszystkiemu, co wielkie, piękne i dobre.

Zdawałoby się, że inżynier to przynajmniej jakiś Mojżesz, myślący i czujący za cały naród, a tymczasem bywa on najczęściej zwykłym urzędnikiem technicznym, rzemieślnikiem uczonym, który wykształcił się w swoim fachu, aby dobrze zarabiać.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Albina Dworzakowa-Mraczkowa.

PROŚBA.

O, promień jeden — wieczny światła zdroju—
Spuść w duszę ciemną, pełną niepokoju!
O, promień jeden z bóstwa zorzy świętej,
Gdy duch się w zwątpień zapada odmęty,
Gdy próżno wije się w bezsilnym boju —
O, promień jeden — wieczny światła zdroju!

Świat tak obłudny — jam jak chore dziecię;
Los wciąż splątane rzuca na mnie siecie,
Śród szychu kłamstwa ginie prawda złota —
Jestem jak trzcina, co z wiatrem się miota!

Świat tak zwodniczy, tak mdła moja siła —
O, promień jeden, abym nie zbłądziła,
O, promień jeden — wieczny światła zdroju —
Uchyl mi prawdy, córy swej, zawoju!

O wielki duchu! o władzco wszechświata!
Ku tobie dusza ma z jękiem ulata —
Prowadź mnie naprzód w ciemnościach żywota,
Daj, niech mi błyśnie prawdy zorza złota; —
O, promień jeden — wieczny światła zdroju —
Zeszlij w mą duszę, pełną niepokoju!

Z czeskiego przełożył

Miriam.

KRWAWY DYABEŁ.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

z czasów Zygmunta III.

PRZEZ

L. S. W.

(Dalszy ciąg.)

II.

Dzieje pani starościny.

Następnych dni starosta wraz z bratem stryjecznym, Zwolińskim i burgrabią odbywali ciągłe narady, oglądali i kompletowali broń i rynsztunki, krzątając się widocznie około przygotowań na jakąś wyprawę. Młody Samuel, zrażony już do stryja i podejrzewając czystość jego zamiarów, nie mieszał się do niczego. Chmurnie i w milczeniu spoglądał na wszystkie przygotowania, a było widocznem, że i stryj traktował go ozięble, nie wtajemniczając w swoje zamysły. Utwierdziło to jeszcze bardziej szlachetnego młodzieńca w powziętem postanowieniu, wycofania się z pod sztandaru stryja. Dowiedział się niebawem, że starosta przygotowuje napad zbrojny na wieś Korniakta i jego matki, a oburzenie jego nie miało granic, gdy powiedziano mu, że los więźniów, za którymi wstawiał się do stryja, został już rozstrzygnięty.

Wprawdzie owego Godlewskiego nie ścięto, lecz owszem puszczono wolno, po długiej a tajemnej rozmowie samego starosty z więźniem, a Tatarzy pozostali nadal w lochach zamkowych, ale trzej nieszczęśliwi, niewinni chłopi Korniakta, zostali powieszeni z rozkazu starosty, bez sądu i wyroku. Srogie to „morderstwo“, jak je bez ogródki nazywał Samuel, oburzyło go do tego stopnia, że pożegnawszy tylko stryjenkę, a nie widząc się wcale ani ze starostą, ani z wymownym Stanisławem z Ozomli, którym już teraz stanowczo pogardzał, jako małodusznym zausznikiem okrutnego brata, opuścił niezwłocznie Łańcut, udając się do domu, do ojczystego Podżabia, gdzie go oczekiwała matka.

Wyprawa na Korniaktów rzeczywiście wkrótce przyszła do skutku i powiodła się Stadnickim znakomicie. Wieś przeciwnika zrabowano i spalono, a samego Korniakta, po dzielnej obronie, ujęto i przywieziono rannego do Łańcuta: starosta wtrącił go do tego samego lochu, gdzie siedzieli Tatarzy.

— Może i niedobrze postąpiłem — mówił szyderczo do brata — żem się pośpieszył ze straceniem owych chłopów pana Korniakta. Wprawdzie oczyściło się nieco miejsca dla szlachetnego więźnia, ale gdyby te chamy jeszcze żyli, weselej byłoby Korniaktowi z własnymi ludźmi, a no i miałby z nich usługę, bom przecie, choć mnie Dyabłem nazywają, o tyle ludzki i litościwy, że więźniów swych w kajdany zakuwać nie każę...

Korniaktowa pojechała na skargę do króla, ale Stadnicki był pewny, że nieprędko coś wskóra. Wybrał się też wkrótce i sam do Krakowa i Warszawy, rzucając się w wir wypadków, czynny biorąc udział w walkach stronnictw. Zostawszy, jak widzieliśmy, stronnikiem króla przez niechęć do Zamojskiego, niedługo jednak wytrwał przy boku Zygmunta III.

Panu staroście chciało się koniecznie wyższego dostojeństwa, pragnął kasztelanii i miejsca w senacie, a Zygmunt III nie kwapił się z udzieleniem tej godności, okazując się jak zwykle, opieszałym zarówno w jednaniu sobie przyjaciół, jak w karceniu wrogów. Nadto przeciwko Stadnickiemu przemawiała sprawa z Korniaktem, staraniem starosty ciągle odwlekana, ale niezałatwiana. Wkrótce więc starosta zaczął skarżyć się głośno na „niewdzięczność królewską“ i wreszcie za pośrednictwem uczonego Jana Szczęsnego Herburta z Dobromila, pojednał się niby z Zamojskim, opuszczając tem samem stronnictwo królewskie. Odtąd, we wszystkich wypadkach późniejszych, Dyabeł łańcucki i brat jego Stanisław z Ozomli, występują stale przeciwko Zygmuntowi III.

Czasy były burzliwe, pełne wypadków. Mijały lata, a pan starosta łańcucki ciągle prawie uwijał się gdzieś po za domem, rzadkim bywając gościem na zamku swoim. Biedna starościna pędziła życie samotne, zajęta modlitwą i wychowaniem syna. Bolała nad postępowaniem męża, martwiła się i płakała, ale nie mogła nawet próbować wpływu na umysł starosty, zawsze dla niej groźnego i obojętnego. Nawet rządy zamku nie należały do niej, gdyż pod nieobecność pana rządzili wszystkiem Zwoliński z Cieleckim. Cierpiała więc w milczeniu, bezsilna, poddając się wyrokom Opatrzności i przyjmując wszelkie zmartwienia, jako zasłużoną karę za grzechy męża i własne. Cierpiała już niemało i dawniej, a dzieje jej życia były dosyć burzliwe...

Młody Samuel Stadnicki szukał też początkowo karyery przy boku królewskim. Pełen sił i energii, żądny czynów i pragnąc służyć krajowi, miał jednak wstręt do waśni, zatargów i intryg wewnętrznych, domowych, które były właśnie żywiołem starosty łańcuckiego. Samuel najchętniej walczyłby z nieprzyjacielem obcym, zewnętrznym, broniąc granic Rzeczypospolitej lub niosąc jej potęgę w cudze kraje, jak bywało niegdyś za króla Stefana. Teraz jednak przez czas długi niewiele było wrogów zewnętrznych, a natomiast kiełkowały i krzewiły się w Polsce walki bratobójcze, domowe. Samuel odbył kilka wypraw na Tatarów, pod chorągwiami kresowemi, które broniły kraju od napadów dziczy; towarzyszył też Zygmuntowi III w jego dwukrotnej wyprawie do dziedzicznej Szwecyi i walczył w obronie króla przeciwko zasadzkom

zdradzieckiego przywłaszczyciela Sudermana. Potem już nieprzyjaciół zewnętrznych zabrakło: nie mieszając się więc do zatargów domowych, ażeby nie dopomagać ani wchodzić w drogę groźnemu stryjowi, Samuel powrócił do domu. Imiona Dyabła łańcuckiego i Stanisława z Ozomli były wtedy w ustach wszystkich, zbyt głośne i osławione; Samuel nie chciał, ażeby jego imię łączono z imiony tych okrzyczanych Stadnickich. On także, równie jak starościna, bolał nad wybrykami starosty, które uważał za hańbę swego rodu i nazwiska. Postanowił więc ocalić część rodu, zachowując imię niepokalane i przekazując je swemu potomstwu, ażeby było odrodzoną gałęzią domu Stadnickich, wolną od hańby, wybryków i gwałtów. Powiodło mu się to istotnie.

Na żądanie staruszki matki, Samuel ożenił się z ubogą krewniaczką Herburtów i pędził życie pracowite, a spokojne na zagonie ojczystym. Gdy starosta łańcucki był w domu nieobecnym, Samuel z żoną odwiedzali osamotnioną starościnę.

Poważna już matrona polubiła młodą, a żywą i rozsądną panią Samuelową i spędzała z nią długie wieczory na poufnych rozmowach, gdy tymczasem pan Samuel z zamiłowaniem i zajęciem spoglądał na rozsądnego Władka, przykładając się o ile mógł, do jego rycerskiego i umysłowego wykształcenia. Starosta bowiem nie pozwalał oddawać syna do szkół, lecz wolą jego było, aby chłopiec pozostawał przy matce, dopóki go on, ojciec, ze sobą nie zabierze.

— Szkolna mądrość — mówił — niepotrzebna Stadnickiemu. Jam w szkole nie był, a uczony brat mój Stanisław, Boże odpuść, to niezdara, który beze mnie nic by nie znaczył i nie potrafiłby żyć na świecie...

Pewnego dnia zimowego starościna siedziała z panią Samuelową w swojej komnacie. Młoda kobieta prosiła stryjenki, aby opowiedziała jej historyę swego życia.

Starościna nie wzdrygała się długo, miała już tyle przywiązania i zaufania do swej krewnej, że chętnie wtajemniczyła ją w ciekawe a smutne swoje dzieje.

— Ród Jazłowieckich z Jazłowca — mówiła — należy do najdawniejszych i najbardziej zasłużonych w Polsce. W dawnych walkach z Litwą, Wołoszą, Turkami i Tatary, odznaczył się niejeden prawy rycerz z naszego rodu, a krzesło wojewody podolskiego stało się niemal dziedzicznem w mojej rodzinie. Ot i teraz właśnie, po śmierci mego ojca wojewody, godność tę otrzymał od króla brat mój, Mikołaj. Matka moja była z domu Stadnicka, a więc krewna mojego męża i wasza. Straciłam ją jeszcze w dzieciństwie i pozostaliśmy z bratem tak dobrze jak sierotami. Ojciec bowiem ciągle bywał nieobecny w domu, pędząc życie na usługach krajowi, radząc przy boku króla lub ucierając się z wrogiem. Nie ożenił się powtórnie, nie było więc komu czuwać nad naszem wychowaniem. Zaledwie podrośliśmy, oddano nas między obcych: brata, o kilka lat młodszego ode mnie, ojciec wysłał do bursy jezuickiej do Krakowa, mnie zaś, zaledwie dwunastoletnią umieścił we fraucymerze królewny Anny. Przywieziono mnie do stolicy właśnie wczasie kilkomiesięcznego panowania króla Henryka. Gwarno i wesoło było wtedy w Krakowie, król i liczny dwór jego cudzoziemski bawili się podobno ciągle, o niczem nie myśląc, jak tylko o zabawach, a pieniędzmi pono sypali, jak plewami. Ja uczyłam się we fraucymerze czytania, pisania i robót kobiecych i podobałam się samej królewnie, już wtedy niemłodej, w stanie panieńskiem żyjącej. Zacna to była pani, miłosierna i dobrotliwa, pobożna i obyczajów surowych. Dwór jej podobny był do klasztoru i sama królewna nosiła nawet najczęściej strój zakonny. Na modlitwie i pracy schodził czas pannom jej fraucymeru; dozwolone były godziwe rozrywki, ale uchowaj Boże jakiej płochości. W zabawach nowego króla dwór nasz nie brał żadnego udziału, bo królewna potępiała płochość i lekkomyślność Henryka.

Młody król odwiedził ją razy kilka, widziałam go dobrze przez szparę drzwi i pamiętam, że dziwiłam się niezmiernie jego kusemu od jedwabiów i złota lśniącemu strojowi. Nie wyobrażałam sobie dawniej nigdy, aby król mógł być tak mało poważnym, tak wymuskanym jak lalka; najwięcej zaś mnie wprawiło w osłupienie spostrzeżenie, że król ten miał w uszach kolczyki, jak kobieta! Król z wielkim szacunkiem całował zawsze królewnę w rękę przy powitaniu i pożegnaniu, a bawił króciutko, rozmawiając z nią wesoło po francuzku. Mówili niektórzy wtedy i potem, jakoby król Henryk chciał się żenić z naszą królewną, inni złośliwie pletli, jakoby sama tylko Anna tego pragnęła, chociaż była prawie dwa razy starszą od króla, ale to wszystko wierutne bajki. Królewna rada była zawsze pozbyć się tego gościa i wielką przyjemność sprawiła jej ucieczka Henryka do Francyi po kilkomiesięcznem panowaniu. Pamiętam, jak my, młodsze dziewczęta dworskie, śród śmiechów i pustoty, na wieść o ucieczce Francuzów, piałyśmy po koguciemu, gdyż ludzi tego narodu nazywano wówczas, nie wiem dlaczego, kogutami *).

W rok jakoś potem zaszła u nas ważna zmiana, gdyż królewna nasza została królową, obrano ją na tron polski, z warunkiem poślubienia Stefana Batorego.

Gwarno stało się u nas zrazu, odwiedzali królową panowie, rycerze, biskupi i posłowie cudzoziemscy, a że dochody Anny były szczupłe, spadku zaś po bracie dotychczas od panów doprosić się nie mogła, częstokroć nie starczyło jej na przyjęcia i konieczną wystawność. Przybył wreszcie oczekiwany Batory i odbyły się gody weselne, potem koronacya. Miałam już wtedy rok piętnasty, a że wzrostu byłam nad wiek słusznego, pozwolono mi już brać udział w pląsach i zabawach weselnych. Wtedy po raz pierwszy poznałam mnóstwo świetnej młodzieży, po raz pierwszy ośmieliłam się rozmawiać z obcymi.

Pomiędzy młodzieżą rycerską z dwoma najlepiej lubiłam rozmawiać, dwóch najbardziej podziwiałam. Byli to obaj młodzieńcy dorodni, a znani już z waleczności, jeden nazywał się Zbigniew Ossoliński, drugim był Stanisław Stadnicki, mąż mój teraźniejszy.

Osobliwsza była to zaprawdę para z króla Stefana i królowej Anny, osobliwszem ich pożycie. Królowa była znacznie starszą od męża, czciła go i szanowała, on zaś był dla niej zimno grzecznym. W małżeństwie tem, skojarzonem z pobudek politycznych, nie było i być nie mogło miłości. Wkrótce po weselu królestwo rozjechali się: król pośpieszył na wyprawę przeciwko buntowniczym Gdańszczanom, królowa Anna przeniosła się do Warszawy, gdzie zamieszkała stale, prowadząc dwór osobny. Król Stefan odwiedzał ją rzadko i na krótko; najczęściej listownie dowiadywali się nawzajem o swem zdrowiu. Nieraz królowa żądała czegoś od króla dla swoich przyjaciół lub wstawiała się za kim, a prośbom jej nigdy król nie odmawiał. Zresztą pani nasza rządziła się w Warszawie, jako królowa panująca, wydawała przywileje i nadania.

*) Dlatego, że Francuzów nazywano także starożytnem mianem Gallów, a *gallus* po łacinie znaczy również *kogut*.

Ale wracam do moich własnych dziejów. Przyjechałam z królową do Warszawy i bawiłam jeszcze na jej dworze coś ze dwa lata, lecz w końcu zaczęło mi się przykrzyć: byłam już panną dorosłą, a królowa zachodząc w lata, pędziła życie bardziej jeszcze ciche i odosobnione niż dawniej. Zresztą nie potrzebowała już tak licznego dworu i rozpuściła część fraucymeru. Prosiłam ojca, żeby mnie zabrał do domu i obiecał to uczynić, królowa zgodziła się mnie uwolnić. Miałam odjechać z ojcem jakoś w Lipcu, przedtem zaś gotowano się w Warszawie do świetnego obchodu wianków w wilią św. Jana. Król bawił chwilowo u królowej i oboje królestwo mieli przyglądać się uroczystości z tarasu zamkowego.

Prześliczny to był wieczór, a dla mnie na całe życie pamiętny. Oba brzegi Wisły od starego mostu wprost ulicy Mostowej aż pod zamek królewski oświetlone były kagańcami, pękami łuczywa i zapalonemi beczkami smolnemi, a wszystkie te światła odbijając się w spokojnej wodzie, stanowiły uroczą całość z jasno płonącemi gwiazdami na szafirowem niebie nocy letniej. Na całej tej przestrzeni rzeki uwijały się liczne łodzie, już to wspaniale przystrojone w chorągwie i kwiaty, już to proste i ubogie z różnokolorowemi latarniami. Na niektórych łodziach przygrywała muzyka, na innych słychać było wesołe pieśni, a wszystkie mknęły szybko, dźwigając młodzież dorodną różnych stanów, która uganiała się za rzucanemi z brzega przez dziewice wiankami.

Królestwo byli w ogrodzie zamkowym i ja, wraz z ojcem, znajdowałam się po raz ostatni w orszaku królowej. Długo przyglądaliśmy się pogoni za różnokolorowemi, w obfitości sypanemi z brzega wiankami, aż wreszcie dostrzegłam dwie bogate łodzie, obok siebie płynące. W każdej z nich było po dwóch rycerzy: w pierwszej Stanisław Stadnicki z Samuelem Łaszczem, w drugiej znany mi także Zbigniew Ossoliński z nieznajomym jakimś towarzyszem. Poznałam ich i zadrżałam mimowoli. Wiedziałam od ojca, że zarówno Stadnicki jak Ossoliński zamierzali się starać o moją rękę, widywałam ich obu nieraz jeszcze po owej pierwszej znajomości na weselu królewskiem, a serce moje skłaniało się ku Stadnickiemu... Ceniłam jednakże Ossolińskiego i żałowałam go, że ku mnie chciał zwrócić swoje nadaremne starania. Łaszcza znałam z daleka: był to człek gwałtowny, dziki i okrutny, a znany był powszechnie, tak że samo jego imię wywoływało trwogę lub przekleństwa. Nie podobało mi się bardzo, że Stadnicki był w jego towarzystwie i ostrze jakiegoś złowrogiego przeczucia boleśnie ukłuło mnie w serce...

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

PIERWSZA TAJEMNICA.

OPOWIEDZIAŁA

Maryą Napieralska.

(Dalszy ciąg.)

W kilka dni później miał się zacząć karnawał, który byłam pewną, że przejdzie nam bardzo wesoło. Marszałek jeździłby z nami na bale do Kijowa, a przecież tam mieszkał kapitan. W tymczasowych mych stosunkach z mieszkańcami dworu birońskiego, nie zaszła żadna zmiana. Z marszałkiem postępowaliśmy zawsze przyjaźnie, z pewną poufałością, Wielka Wanda była zawsze jednakowo dobrą, poważną i moją ukochaną. W tem coś we dwa tygodnie po wyjeździe Rolanda, gdym stała raz wieczorem przy oknie w półcieniu, usłyszałam głos dzwonków przy sankach i niezadługo wbiegł do salonu kapitan.

Marszałek i Wanda byli w tej chwili w drugiem skrzydle domu, ja sama wyszłam na przyjęcie niespodziewanego gościa.

— Panie Rolandzie! — zawołałam radośnie, biegnąc ku przybyłemu. — Tak niespodzianie zjawiłeś się, cóż to znaczy?

— Najdroższa moja — odpowiedział — przyjechałem z niewesołą nowiną, bo na pożegnanie...

— Na pożegnanie? — przerwałam bez oddechu prawie.

— Wyjeżdżam do Kaukazu i to na całą zimę. Służba mnie tam powołuje, muszę cię opuścić ukochana.

Twarz Rolanda pochylona nade mną była bardzo bladą, a jam drżała przerażona.

— O! jak to długo — szepnęłam z boleścią.

— O! tak, okropnie długo — odrzekł smutnie— szczególniej gdy pomyślę, że zostawię cię tutaj samą jedną i to wśród wrzawy karnawałowej, bo przecież marszałek nie zechce pań trzymać w domu w czasie najweselszych zabaw.

Wtem w pokoju przyległym dał się słyszeć szmer idących osób.

Wyrwałam się z objęć jego, jak spłoszona sarna i siadłszy w fotelu zaczęłam obojętną napozór rozmowę.

Co dalej się działo już nie pamiętam. Przypominam sobie tylko, że do pokoju wszedł marszałek i Wanda i że marszałek dziękował kapitanowi za jego przyjazd umyślny, a Wanda zbladła przy podaniu ręki Rolandowi. Gdy wreszcie znaleźliśmy się później bliżej siebie, szepnął mi Roland.

— Wando, nie wiesz nawet jak jestem szczęśliwy, żeś mnie pokochała. Uwielbiałem cię od pierwszego widzenia w teatrze, gdzie przyrzekłaś mi wypowiedzieć wojnę i zwyciężyć. I naprawdę zabrałaś mi serce spojrzeniem cudownych swych oczu. O! kochaj mnie, kochaj, bo nie wiem sam, do czego byłbym zdolny, gdybyś przestała być mi wzajemną.

— Rolandzie, nie rozumiem nawet co to znaczy przestać kochać, bo nigdy jeszcze nie kochałam — brzmiała moja naiwna odpowiedź. — A ty panie Rolandzie — szepnęłam po chwili cichutko— czyś żadnej... żadnej nigdy nie kochał?

— Wando, pojmujesz zapewne, że mężczyzna nie posiada czystości uczuć dziewiczych. Nieraz zdaje mu się, że uczuwa jakąś skłonność, pociąg, ale to nie nazywa się miłością, bo kochać prawdziwie można tylko raz jeden w życiu. Kto kocha ciągle, ten nie kocha nigdy. Mężczyzni wystawieni na wiele pokus, prowadzą życie swobodne, nie krępując się w niektórych względach, dlatego nie mówię, że nie pobiegłem spojrzeniem ani razu za jakim wabnym ptaszkiem, że nie uczułem żywszego uczucia, ale nie kochałem nigdy tak, jak ciebie.

— Być może, panie Rolandzie, ale ja nie należę do najlepszych, gdy zatem znajdziesz kobietę obdarzoną przymiotami, jakich nie posiada moja mała osóbka, to mógłbyś pokochać ją serdeczniej i... zapomnieć...

— Wando! — zawołał kapitan, ogarniając mnie płomiennym spojrzeniem — nie mogę tego ani na jedno mgnienie oka przypuścić, bo nie umiałbym nigdy oswoić się z myślą, że trzeba utracić ciebie.

Potem przycisnął mnie namiętnie do piersi, ucałował ręce i zostawił płaczącą, odjeżdżając smutny, zrozpaczony prawie.

Po odjeździe kochanego, tęsknota tak napełniała serce moje, że zapragnęłam podzielić się z nią koniecznie z kimś, coby mnie zrozumiał. Dnia więc jednego, gdyśmy właśnie siedzieli przy drugiem śniadaniu, oddano Marszałkowi torbę z poczty, naładowaną listami i gazetami. Pochylona przez ramię marszałka, zaglądałam ciekawie we wnętrze czarnej torby, spodziewając się listu od przełożonej, lub babuni, bo korespondencya trwała ciągle między nami. Już wątpiąc o otrzymaniu listu, zajęłam się pobieżnem przeglądaniem gazet, gdy nagle, błysła mi przed oczami kolorowa koperta z moim adresem.

Zanim marszałek miał czas spostrzedz się, tknięta dziwnem przeczuciem, że to nie jest list od przełożonej, ani od babci, porwałam go i z mocnym rumieńcem wybiegłam z jadalni.

To Roland pisał do mnie. Pierwszy to był list miłosny. Która z was czytelniczki otrzymywała podobną korespondencyę, ta pojmie, jakie to miłe, szczególne uczucie ogarnia w chwili odczytywania myśli ulubionego.

— Czy to od przełożonej? — zapytała Wielka Wanda, gdym zwróciła do niej twarz jaśniejącą ze wzruszenia.

— Jak myślisz? — zagadnęłam z kolei obejmując ją czule.

— Myślę poprostu, że to jakaś miła wiadomość. — odparła Wanda nie domyślając się niczego.

— Wando — zawołałam z zapałem, chcesz się dowiedzieć o rzeczy nowej, niewiadomej dotąd dla ciebie i niespodziewanej całkiem pewnie, to weź ten list i przeczytaj.

— Czy to tajemnica jaka? — spytała znów przyjaciółka moja.

— Tak, wielka nawet tajemnica, dlatego właśnie chcę podzielić się nią z tobą, bo samej trudno ją utrzymać...

Umilkłam: Wanda nie kwapiła się z wzięciem listu.

— Jeżeli to jest tajemnica—rzekła po chwili — to trzeba wprzód namyśléć się, czy można ją poznać, ponieważ niewiadomo nam co może nastąpić, kiedy już nie ty jedna, lecz i ja będziemy wiedziały o niej. Kiedy jednak pragniesz tego to zrobię jak życzysz sobie... — I to wyrzekłszy wzięła list do ręki, ale jakby wiedziona złowróżbnem przeczuciem, że nie znajdzie w nim wesołej dla siebie nowiny, odwróciła się w ten sposób, że nie mogłam śledzić wrażenia, jakie czytanie na nią wywierało.

Zapanowała długa chwila milczenia. Najpierw słyszeć się dawał lekki szelest papieru, a potem, w kilka lat później przypominając sobie to zdarzenie, zdawało mi się, że Wanda przy czytaniu tego listu zachwiała się. Twarz jednak jaką zwróciła ku mnie, była bladą, lecz najzupełniej spokojną. Ja spodziewałam się jakiego wykrzyknika, zdziwienia, śmiechu wreszcie, a ona tymczasem wyciągnęła do mnie ręce, ale jakby szukała podpory nie uścisku a usta jakie dotknęły mych gorących warg były chłodne, lodowate prawie.

— Czyś kontenta? — zapytałam.

Słaby uśmiech był całą odpowiedzią na me pytanie.

Nic więc nie stało się podług mego przypuszczenia. Nie przyszło między nami do poufnej, przyjacielskiej rozmowy w tym przedmiocie, nie układałyśmy wspólnie planów o przyszłości, Wanda nawet nie była ciekawą dowiedzieć się, gdzie, kiedy i jak oświadczył mi się kapitan.

— Jakże ona dziwnie jest obojętną — myślałam sobie — znać, że pewnie nigdy nie kochała jeszcze.

Niekiedy jednak całując mnie z uśmiechem mówiła:

— Czy bardzo tęsknisz za Rolandem?

— O! — odpowiadałam — jeżli kiedy pokochasz sama, to poznasz dopiero co znaczy tęsknota.

Wanda przyrzekła mi, że nic zgoła nie powie ojcu o tej całej sprawie.

Tymczasem rozpoczął się huczny karnawał, który mimowolnie musiał moje myśli zwrócić na balowe tualety, tańce, otoczenie wesołe, zwłaszcza że byłam prawie królową każdego balu, odbierając liczne hołdy młodzieży.

Cóż zatem dziwnego, że dałam się opanować odurzającemu szałowi, że młodziutka i płocha nie strzegłam się tego wszystkiego, cobądź mogło mi dawać chwilowe choćby zapomnienie o odległym, daleko położonym Kaukazie, a gdzie przecież żył i tęsknił piękny Roland.

Lekkomyślnej kobiecie nie wystarcza panowanie nad jednem tylko sercem, zwłaszcza kiedy widzi setki mężczyzn, krążących koło siebie. Być może że i przedstawienie mnie, jako krewnej marszałka, przyczyniło się niemało do wszystkich tryumfów, być może, że i niejeden z tych, który mi prawił grzeczne komplementa, odsunąłby się lub traktował protekcyonalnie, dowiedziawszy się, żem tylko biedną nauczycielką, do czego sama przed sobą nie przyznawałam się chętnie. W każdym innym domu obchodzonoby się ze mną zwyczajnie, jak z każdą guwernantką, jak z wyższą sługą, której pensyi dają więcej, niż pannie służącej lub gospodyni. A ja tak namiętnie lubiłam bogactwo i tak już przywykłam do niego, że ciężko, ciężko byłoby mi porzucać rolę samowolnie przywłaszczoną. Raz zastanawiając się nad tem nasunęła mi się myśl o położeniu Rolanda.

Nie wiedziałam dotąd nic o materyalnym jego bycie i nigdy nie mówiliśmy z sobą w tym względzie. Kapitan mniemał zapewne, że oświadczył się kuzynce marszałka, a więc bogatej zapewne, ja zaś nie pomyślałam nigdy, że nie zawsze będzie się można zajmować tylko pisaniem listów miłosnych i marzeniami, do urzeczywistnienia których potrzeba koniecznie pewnych podstaw.

I... wyjaśnienie nadeszło szybciej niż myślałam, Roland pisał do mnie z Kaukazu:

„Jedyna moja, dzień i noc jestem myślą przy tobie, zazdroszcząc chmurom płynącym w tamtą stronę. Czy ty o mnie myślisz, czyś nie zapomniała, czy kochasz tak, jak wówczas, gdyś mi to wyznała porwana uczuciem?"

Między podobnemi szaleństwami, śmiesznemi dla nie zakochanych, następowała wzmianka o małżeństwie. Rolandowi było tak tęskno, tak smutno, że pragnął coprędzej połączyć się ze mną i zabrać do siebie. Ale Wando, pisał dalej, obawiam się niezmiernie, że utrzymanie, jakie mogę ofiarować nie zadowolni cię brakiem wielu rzeczy, do jakich jesteś przyzwyczajona. Przy skromnej pensyi wojskowi prowadzą życie koczujące prawie, dlatego żony ich narażone są częstokroć na znoszenie niewygód, jakich przedtem nie znały, a czy ty Wando taka piękna, taka delikatna, byłabyś wtenczas szczęśliwą? Jeźli chcesz, to rozkazuj mi, a pójdę natychmiast choćby w świat najdalszy, będę się starał o wyższą posadę, będę pracował bez wytchnienia, byleby ciebie zyskać w nagrodę, byleś z uśmiechem radości została moją żoną.

Tego listu nie pokazałam Wielkiej Wandzie, lękając się sprzeczności jej zdania z mojem.

Nie znałam jeszcze wówczas samej siebie, co właśnie rokowało przyszłość bardzo niepewną dla nas obojga. Kiedykolwiek mogłam może żałować zamążpójścia w wieku tak wczesnym, kiedy czekała mnie w świecie może także lepsza karyera, a ja tak bardzo nie lubiłam niedostatku.

Ale przecież kocham Rolanda, a któż wie co nastąpi, gdy się dowie, żem tylko guwernantką? Może sam wówczas zwróci mi słowo, ważąc byt dwojga niezamożnych.

Ostatecznie była to kwestya, jaką należało rozpatrzéć bliżej i dać czas do namysłu, nie zaś działać pospiesznie. Chwyciłam się więc pośredniej drogi. Nie rzekłszy stanowczego tak lub nie, posłałam kapitanowi następującą odpowiedź:

„Panie Rolandzie! dzisiaj wiem tylko to, że kocham cię szczerze. Pojmuję dobrze twą tęsknotę, ale proszę odłóżmy jeszcze na stronę sprawę małżeństwa. Jesteśmy oboje młodzi, mamy przed sobą wiele jeszcze lat, dlatego w kwestyi ślubu porozumiemy się dopiero za powrotem twoim. Musisz przecież oznajmić o tem marszałkowi, poczynić pewne, nieodzowne przygotowania, wiedz jednak, że szczęście dla siebie upatruję tylko razem z tobą, mój drogi Rolandzie."

Minęło parę tygodni. Co zaszło w ciągu tego czasu o tem nie koniecznie należy tutaj wspominać, dość będzie, gdy przedstawię następujący obrazek:

Dnia jednego po powrocie z balu, stałam nieco rozmarzona jeszcze w jednym z obszernych salonów birońskiego dworu, a obok, przedzielony zaledwie konsolą, stał marszałek i poważnie ze szczerem uczuciem w głosie, pytał czy zostanę jego żoną.

— Nie będąc młodzieńcem — mówił — nie mogę ci wypowiedziéć z całą namiętnością, jakie uczucia żywię dla ciebie. Pytam zatem z całą otwartością, czy zechcesz Wando przychylić się do mej prośby, gorącej, serdecznej i zostać moją żoną?

Marszałek mimo usiłowania by okazać się spokojnym, okazywał przecież wielkie wzruszenie. Pogodne, przyjemne jego oczy zwracały się do stojącej przy nim kobiety z niemem błaganiem, o rękę serce.

Co za sprzeczność. Świeżący mężczyzna i młodziutka dziewczyna. Pierwszy zbliżał się ku zachodowi życia i w wędrówce tej chciał pociągnąć za sobą kobietę, której świat uśmiechał się dopiero. Ona, to wschodząca jutrzenka, on, wieczór jesienny. Chociaż pierwsza spowita cała w różowe szaty, widzi przed sobą jasną, kwiecistą drogę, ale drugi złotemi liśćmi może zastąpić urok młodych pędów, może bogactwem, jak magnesem przyciągnąć do siebie dziewczynę. Stary trzymając jej rękę w gorącym uścisku, tonął w jej oczach, które w tej chwili pogoniły gdzieś daleko, daleko... Może tam spotkały się z drugiemi oczami, które z swej strony nie przestawały patrzéć w stronę birońskiego domu. Może małej Wandzie błysnęły ponętnie nawet epolety kapitańskie, ale za niemi ukazał się wnet obraz skromnego, cichego życia w objęciu męża, przy ciężkiej pracy w przyszłości? Bezwątpienia, komu postawią dwie rzeczy do wyboru, jedną świetną, a obok ubogą w porównaniu, któżby się mógł jeszcze wahać w wyborze. Piękne suknie, bogate otoczenie, dostatek i w ogóle to wszystko co stanowi urok zamożności, jakże jest wielkim wabikiem dla każdego. Panna, która jak ja przyjdzie do przypuszczenia, że może obojgu, t. j. Rolandowi i jej, nie powodziłoby się zbyt pomyślnie, że oboje bardzo młodzi, mogliby kiedyś żałować związku tak porywczo zawartego, ileż nie znajdzie dowodów do usprawiedliwienia czegoś, co pragnie zastąpić czemś innem.

A marszałek tymczasem mówił:

— Będę cię kochał i czcił, jak nikogo w świecie, oddam wszystko pod twe rozkazy, cobądź zapragniesz, miéć będziesz natychmiast. Nie spodziewam się bynajmniej od ciebie tkliwej miłości, lecz błagam cię o troszkę uczucia chociaż, o tę przyjaźń, jaką w zgodnem pożyciu żona może ofiarować mężowi.

Jakże tu więc było nie słuchać takich obietnic, jak odpowiedziéć na nie odmownie, jak wezwać w myśli tego, który pragnął tylko miłości, ofiarując w zamian skarby swego uczucia?

— Wando, odpowiedz choć słówko — odezwał się po chwili zadumy marszałek.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Dorożka N-r 117, komedya w trzech aktach z francuzkiego przełożona przez Jana Kleczyńskiego.

Autorowie tej farsy nie komedyi jak ją zatytułowali, panowie Najac i Millaud, dali dowód wielkiej zręczności, prawdziwie francuzkiej kiedy z treści w niewielu słowach dającej się opowiedziéć, potrafili napisać trzyaktową sztukę pełną dowcipu i wesołości z malutkiem pieprzykiem nierażącym jednak za wiele zbyt wygurowanych wymagań.

Rzecz tak się ma:

Według kodeksu poprawczego francuzkiego, za drugiego cesarstwa obowiązującego, w dorożkach jadąc niewolno było spuszczać story. Otóż na tem tle rozwija się cała akcya.

Są zatem państwo Vaucresson, żyjący z sobą w urzędowej separacyi i lada chwila oczekujący wyroku rozwodowego. Nim jednak ten rozwiąże niemiłe im więzy, pan Vaucresson pociesza się umizgami do żony adwokata Portenvilla wielce mu sprzyjającej, a pani Anais Vaucresson westchnieniami młodego dyplomaty Vlanseca, mającego z nią stanąć na ślubnym kobiercu zaraz po otrzymaniu rozwodu.

Parę tę przechadzającą się po bulwarach paryzkich, burza nagle powstała zmusza schronić się do dorożki, w której skutkiem rażącego światła błyskawic, jakiego zbyt nerwowa pani Anais znosić nie może, zapuszczono story.

Woźnicy Janowi szczególnemu zwolennikowi przyzwoitości, manewr ten ze storami nie spodobał się, zwraca więc uwagę policyi na zasłonę powozu i zatrzymany zawozi swych gości do cyrkułu.

Komisarz bada woźnicę i panią Anais, którą zapisawszy adres uwalnia, pan zaś Vaucresson korzystając z nieuwagi wymyka się na ulicę niepostrzeżony i tym sposobem unika wszelkich wypytywań.

Zaledwie to się stało, policyanci sprowadzają nowego podobnego winowajcę, którego towarzyszka zdołała zręcznie uratować się ucieczką. Tym przestępcą jest sam Vaucresson, gdy więc komisarz pewny jest, że ma przed sobą wspólnika przed chwilą uwolnionej separatki, nagle dowiaduje się, że w dorożce N-r 117 jechał mąż z własną żoną. Adwokat Portenville dowiedziawszy się o tem, oświadcza stanowczo, że rozwód już jest niemożebny, gdyż zbliżenie się męża do żony stwierdzone zostało.

— Ależ to omyłka, fatalna omyłka i nic więcej! — woła oburzony Voucresson. — Jam nie jechał z moją żoną na co mogę złożyć nawet przysięgę.

— Bardzo pięknie! — odpowiada adwokat — trzeba więc to udowodnić przed sądem i wymienić damę z którą razem przejażdżkę odbywałeś.

Vaucresson nic na to nie odpowiada, bo musiałby żonę adwokata skompromitować, wymienieniem jej nazwiska, czego naturalnie nie może się dopuścić. Milczy więc z narażeniem się na przegranie procesu rozwodowego, i położenie to stałoby się bez wyjścia, ale dorożkarz Jan znajduje w powozie książeczkę notatkową pani Portenville, którą oddaje pani Vaucresson, dowiadującej się tym sposobem, kto z jej mężem przejażdżki dorożką dokonywał. Pan Vaucresson prosi żonę o tajemnicę, pani Portenville błaga aby jej nie gubiła, tajemnica więc zostaje dochowaną, rolę winowajczyni bierze na siebie pani Anais i tym sposobem przyznaje przed sądem, że została aresztowaną z mężem.

To zbliża małżonków, porozumienie następuje i proces kończy się zgodą małżonków zupełnie nieprzewidzianą.

Publiczność słuchając tych zręcznie ułożonych zawikłań, śmieje się niezawsze może właściwie, ale nastrojona wesoło śmieje się przy najmniejszej sposobności, słusznie utrzymując, że na te kirem okopcone czasy, warta coś rzecz każda co śmieszy i rozrywa.

Gra artystów jak zawsze była staranna, a szczególniej zasługują na wyróżnienie: artystki, panie Leszczyńska i Czosnowska; artyści zaś Grubiński, Śliwiński, Morozowicz i Turczynowicz.

J. K.

Kartka z tygodnia.

Kochany przyjacielu.

List twój na mnie urodzonym mieszczuchu, na mnie zrośniętym krwią i duchem z brukiem stolicy, tak przykre uczynił wrażenie, iż dotknięty impertynenckiemi uwagami, nie waham się publicznie dać ci odpowiedzi. Gdy mówię o bruku stolicy, nie rozumiem tu rzecz prosta, ani kostek granitowych na pierwszorzędnych ulicach, ani dziur i wybojów spotykanych w dzielnicach mniej szczęśliwych. Nie, przenośnia to zwykła, a sentyment mój rozciąga się zarówno do moich współziomków i towarzyszy, jak i do miasta samego, zacząwszy od Pragi a skończywszy na Mokotowie lub Woli, (kierunek tramwajów staje się jak widzisz, cenną w uczuciach mych wskazówką). Zapytujesz mnie złośliwie, czem Warszawa żyje teraz, gdy wystawa starożytności została już zamknięta, a żadna inna nie bawi jeszcze dorosłych dzieci; gdy nawet konkursy literackie znużone istnem *steeple-chase*, jakie w zakresie ich rozpoczęli wydawcy, chwilowy wyjednały sobie spoczynek. Sądzisz, że po za wystawą i konkursem, nie możemy się już zdobyć na żaden inny pomysł, że w braku tych cech znamiennych, które nas ożywiają niekiedy, zapadamy w głęboki sen letargiczny. Otóż tu przyjacielu, kategoryczną popełniasz pomyłkę.

Drzemka, rzecz to nader miła, nie przeczę, ale wiesz przecież, że oprócz Żółkowskiego, który w roli Pana Prospera niczyjej nie potrzebuje pomocy, żaden Warszawiak rodowity, nie potrafi zasnąć bez... „Kuryera Warszawskiego". A jakżeż ta niania wierna miała nas ukołysać do spoczynku, gdy sama wstrząsaną była konwulsyami niepokoju, gdy przez długi czas nie wiedziała z wieczora, pod czyjemi się rządami z rana obudzi. Dziś bezkrólewie skończone; walna elekcya wyboru władzy urządziła ją ostatecznie. Co z tego wyniknie, przyszłość pokaże.

Widzisz więc przyjacielu, iż nie może być mowy o drzemce, szczególniej, gdy do wszystkich względów powyższych, dołączą się jeszcze ciągłe utyskiwania żony, a wzmianka o cle przywiodła mi je właśnie na pamięć. Jaja mają ulegnąć rządowej opłacie. Wydaje ci się to fraszką, o, szczęśliwy kawalerski stanie. Moja magnifika wyczytawszy, iż odtąd jaja czy kury będą nosić banderolę, aby nie płacić podatku od każdej jajecznicy i nie tracić na podniesionej cenie produktu, będzie w domu chowała kokoszki.

Dzielne takie niewiasty, gotoweby zniweczyć projekt dziesięciu milionów rubli dochodu od ptasiego gospodarstwa.

A ty, zawistny człowiecze, piszesz mi w liście, że Warszawianki złe są gospodynie i że się tylko stroić umieją. Ha! zobaczymy, jak się popiszą wasze panie na wystawie inwentarza, ale prawda, wszak miałem dowieść, że i my umiemy po za konkursem i wystawą o innych mówić rzeczach, nie wspomnę więc już, ani o tym modnym jarmarku, ani nawet o świetnie się zapowiadającej wystawie hygienicznej, jakkolwiek miałbym ochotę, zwierzyć ci się na ucho, iż posądzam mocno, że będzie ona poprostu, wielką ekspozycyą przemysłową. Znajdziesz tam od rzemienia i delikatnych haftów, wszystko, aż do kwiatów sztucznych, no a te zaiste, mają chyba tyle co i fortepiany z hygieną wspólnego. Trudno się jednak dziwić inicyatorom, iż pragną pierwszy swój występ w świetne przystroić szaty, wszak same ordery japońskie pozyskane przez „Komitet starożytności", mogłyby tu pewną stanowić zachętę. O, proszę przyjacielu, nie probuj ich lekceważyć, ordery te bowiem stają się zadatkiem poważnych stosunków, jakie ekonomiści nasi potrafili zawiązać z państwem Mikada.

Bytność księcia Komatsa, przynieść nam może niespodziewane korzyści, do których reszta Europy napróżno wzdycha. Oto jest nadzieja, iż dzięki jego łaskawości, uzyskamy... nową odmianę śliwek. Sądzisz może przyjacielu, że żartuję? Broń że mnie Boże, naprawdę śliwek. Zachwycony nami władzca japoński, postanowił nawet podobno do płonek tych, dodać jeszcze odmianę innego drzewa, które się odznacza spotęgowanemi własnościami naszej brzozy. Sok z młodych jego latorośli, byłby według azyatyckiego dostojnika, doskonałem lekarstwem, na brak ambicyi tych, którzy przejezdnego zasypali prośbami o wsparcie, pisanemi po francuzku i niemiecku. Dowodził, iż w jego ojczyznie, ludzie mówiący obcemi językami, lepiej podobno umieją czas swój zużyć. Nie starczy im go na wyszukiwanie bogatych przejezdnych po hotelach. Hm! brutal nieokrzesany, ale cóż od azyaty można się lepszego spodziewać?

Prócz żebraków jednak względem innych prawdziwym się okazał wielkim panem. Po 100,000 frankach ofiarowanych za ołtarzyk Sobieskiego, zapałał podobno szczególną sympatyą ku naszemu „Wędrowcowi", a posłyszawszy, iż po raz czwarty w tym roku zmienia właściciela, chciał go z sobą jak mówią zabrać do Japonii. Biedne pismo dręczone ciągłą chęcią wędrówek, byłoby raz przecież prawdziwą odbyło podróż. A ruch, to rzecz nader skuteczna na bezkrwistość; tymczasem zamiast radykalnej kuracyi, przejeżdża się pewno tylko wraz z nowym właścicielem, na letnie mieszkanie po za wrzawą miejskiej kurzawy leżące.

Ale, prawda przyjacielu, wszak ty w liście narzekasz i na naszą manię letnich mieszkań.

Wiesz, masz racyą, wyrzekniemy ich się, daj nam tylko darmo u siebie na wsi, cichy jaki na parę tygodni kącik i dużo, dużo powietrza. Ale daj go wszystkiem piersiom schorzałem. W zamian za filantropię tę, wystawimy ci pomnik z westchnień ulgi złożony, a pod same sięgający niebiosa.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

W zeszłym tygodniu z szaloną wichurą przeleciała nad Warszawą gradowa burza z tak strasznym i niezwykłym rumotem, że z Londynu zażądano obszernego opisu jej przebiegu, co tak podniosło w dumę szklarzy miejscowych i przybyłych z prowincyi w widokach niespodziewanego zarobku, że cena szyb wprawianych w miejsce wytłuczonych gradem, podwoiła się.

A jest ich liczba niemała, obliczają ją na pół miliona, co może nie jest przesadą, jeżeli weźmiemy na uwagę, że nie ma prawie domu w Warszawie, w którymby przynajmniej kilkadziesiąt szyb nie zostało wybitych, a są niektóre gmachy publiczne, fabryki, domy większych rozmiarów, w których zdruzgotane zostały już nie setki ale tysiące szyb i to szkła wyborowego.

Wszystkie pisma peryodyczne, ciągle podają szczegółowe opisy różnych wypadków podczas katastrofy. Trwała tylko kilka minut, cztery najwyżej i to wielkie szczęście, bo gdyby z jedną siłą choćby kwadrans była szalała, zdaje się, że z drzew poobcinałaby wszystkie gałęzie i wszystkie podziurawiła dachy, z których i tak cynkowym i szyfrowym dobrze się dała we znaki.

Rozpoczęta niezwykłem przyćmieniem światła dziennego, w umysłach zabobonnych rzuciła przypuszczenie trzęsienia ziemi, nieprzewidzianego zaćmienia słońca, albo zupełnego jego zagaśnięcia. Z utratą przytomności z tego powodu, nastąpiło kilka wypadków śmierci opisanych w sprawozdaniach szczegółowo, z przestrachu chowano się pod stoły i łóżka, szukano z przerażeniem miejsc do ukrycia się, niektórzy jak strusie zamykali oczy a twarz w poduszki pierzane wtłaczali. Złodzieje też gdzie mogli, korzystając z zamieszania i... nierozumu ludzkiego, kradli wszystko co im wpadło pod rękę.

W ogrodach na całym pasie jakim biegła burza, wielkich szkód doznano. Jeden nawet z ogrodników w okolicy Warszawy, z rozpaczy na widok klęski niszczącej mu całe posiadane mienie, dopuścił się zamachu na własne życie.

Na szczęście kula bokiem przeszła i rana nie jest groźną. Nieszczęśliwy! jakże wart litości!

Ogólnie uważając, straty ogrodników warszawskich muszą być niemałe, skoro prezes Towarzystwa ogrodniczego, wydał odezwę do członków w interesie poszkodowanych i przynależnej im pomocy.

We Lwowie zawiązano Towarzystwo oszczędności kobiet, głównie poświęcone krzewieniu jej w rodzinie. Byłoby ono i u nas bardzo na czasie, bo położenie ogólne pod względem finansowym na gwałt tego wymaga, a polepszenia podobno nieprędko się doczekamy. Jest to przedmiot wielkiej wagi, wiadomości też o ile możności skrzętnie zbierane a dotyczące go, podawać w Tygodniku nie zaniedbamy.

Lutnia czyli Towarzystwo lubowników choralnego śpiewu, za przykładem warszawskiej Lutni, rozwijać się zaczyna i na prowincyi, co godne jest naznaczenia. Według wiadomości ostatnich, w Częstochowie odbywa się już nauka śpiewu chóralnego: w Lublinie organizuje się podobne stowarzyszenie, a w Radomiu, Płocku i Kielcach rozpoczęto już odpowiednie starania.

Hodowla węgorzy. W jeziorach pruskich, które nam do niedawna masę ryb dostarczały, rozpoczęto obecnie hodowlę węgorzy z zarybku sztucznie otrzymanego. Hodowla ta dała dobre rezultaty, węgorze bowiem już w drugim roku dosięgały łokciowej długości.

Na okoliczność tę zwracamy uwagę tutejszych hodowców, dodając, że węgorz potrzebuje gruntu mulastego, jak również na probowaną z powodzeniem aklimatyzacyę pstrągów kalifornijskich, jadalnych i smacznych przez rok cały.

O Ryszardzie Wagnerze. Pisarz paryzki, Catulle Mendes, w przedmowie do książki swojej o Wagnerze, zbija zarzuty, jakie teraz, bardziej niż kiedykolwiek, słyszéć się dają przeciw kompozytorowi „Lohengrina”.

Wszystkie one dotyczą pamfletu, napisanego przez Wagnera w roku 1870-ym przeciw Francyi, a Mendes odpowiada na nie: „Czyż może broszura na 20 stronicach zniweczyć dwanaście partytur? Czy może „Upadek Paryża“ zgładzić istnienie „Tristana i Izoldy“. Pewnego dnia obiadowałem w Peszcie u węgierskiego bankiera. Był on żydem i nienawidził Wagnera z powodu jego książki o żydach; ale był zwolennikiem muzyki i podziwiał Ryszarda Wagnera dla „Meistersingerów“. Pokazał mi w gabinecie swoim popiersie niemieckiego mistrza, któremu zarzucił stryczek na szyję, a wawrzynem uwieńczył głowę. Musimy się zachować podobnie, jak ów żyd. Musimy twórcę „Lohengrina“ nienawidzić i wielbić zarazem“.

Z tej samej wychodząc zasady, pan Lamoureux dyrektor teatru paryzkiego Eden, postanowił z operami niepospolitego tego muzyka do genialności często dochodzącego, zapoznać francuzką publiczność i na pierwszy występ zapowiedział Lohengrina. Właściwa publiczność stanowiąca istotny naród francuzki, ucieszyła się tą tak miłą niespodzianką i powodzenie było pewne. Ale rozumny czyn rozumnie oceniający polityczne względy, nie spodobał się lubiącym dla lepszego połowu mącić wodę wszędzie gdzie się uda. Warhołów, próżniaków i głupców pewnych wielkości swego rozumu, nigdzie nie brak, ma więc ich i Paryż, postanowiono zatem wywołać hałas, i skandal udał się przewybornie.

Spektakl przeszedł spokojnie, bez wielkiego entużyazmu, lecz i bez przeszkód, opozycya bowiem zajęła stanowisko tylko na ulicy. Okrzyki: „Precz z Wagnerem!“ „Precz z Prusami!“ „Hańba Lamoureux!“ to panująca nuta w tym dzikim koncercie tłumu. Każdy nadjeżdżający powóz przeprowadzany był szyderczem wyciem, dopóki nie nadszedł sukurs ze strony ulicznego pszemysłu. Kupujcie *Antiwagnera*! (ulotne pismo), kupujcie świstawki wszystko po 3 sous!“ *Antiwagnera* nie kupują, ale kupują świstawki i w jednej chwili rozdzierają uszy straszliwem gwizdaniem. Nadjeżdża powóz, w nim biało ubrana dama. Natychmiast podbiega banda krzykaczy, jakiś młody człowiek otwiera drzwiczki powozu, wołając: „Jeśli pani jesteś francuzką, nie idź tam!“ Dama wystraszona każe w istocie jechać dalej, omijając teatr. Druga, więcej stanowcza, pomimo nawoływań wysiada przed gmachem. Straszliwe gwizdanie towarzyszy jej wraz z okrzykiem: „Nie jesteś francuzką!“ „Prawda — odpowiada rezolutna dama — jestem hiszpanką!“ Clémenceau przeprowadzano okrzykami: „ahu! grabarz ministeryów.“ Za ukazaniem stę Thomasa wybucha okrzyk: „Niech żyje muzyka fraucuzka!“ Pewien anglik, któremu przeszkadzano wejść, krzyknął. „Niech żyje Francya!“ Podniesiono go na ramionach w górę. Na tej wysokości otrzymał wprawdzie postrzał kartoflem (na szczęście pieczonym), poczem już dostał się do teatru. Scen podobnych było mnóstwo. Skandal dochodził kulminacyjnych punktów w czasie antraktów. Gdy w oknach kurytarzy ukazały się sylwetki osób, rzucono kilka kamieni i zachuczała kocia muzyka. Jakiś student miał mowę do kolegów. Miało nas przyjść 1500 — wołał — przyszło dużo mniej, ale musimy hałasować za całe półtora tysiąca.“

Pobito jakiegoś człowieka, którego wzięto za prusaka, i wtedy siła zbrojna przystąpiła do oczyszczenia placu. Wykonano to z niezrównaną zręcznością.

Wszystkiego cztery osoby uległy aresztowaniu. Deszcz rozproszył resztę. Były jednakże gromadki, czekające w pobliżu aż do godziny 1-ej, aby sprawić jeszcze kocią owacyę powracającym z teatru.

Żadnego większego starcia nie było. Widocznie jednak policya musiała otrzymać wskazówki o gotujących się demonstracyach szerszego zakroju, skoro trzecie przedstawienie „Lohengrina“ zostało już zakazane.

Tak więc złość zatryumfowała, rozum zabdykował i głupota wzięła przewagę.

Towarzystwo przemysłowców polskich we Wrocławiu. Ze sprawozdania Towarzystwa przemysłowców polskich we Wrocławiu za ubiegły kwartał r. b. dowiadujemy się, że w tym okresie czasu odbyło się pod przewodnictwem prezesa Wojczewskiego 15 posiedzeń; odczytów było 6, a mianowicie: 1) „O staraniu Kazimierza Wielkiego o dobro ludu polskiego“, przez Szafarkiewicza; 2) „O oświetleniu“, przez Rudzkiego; 3) „Wewnętrzne stosunki w Polsce pod panowaniem domu saskiego“, przez Kiszewskiego; 4) „Ostatnie chwile hetmana Czarnieckiego“, przez Mindoka; 5) „W jaki sposób można się zabezpieczyć przeciwko pewnym chorobom“ i 6) „Z jakiego powodu powstają trzęsienia ziemi i czy uczeni mogą to przepowiedziéć“. Te dwa odczyty wygłosił pan Rudzki.

Dnia 19 go Lutego odbyło się przedstawienie teatralne w sali domu zakładu św. Wincentego a Paulo na rzecz kassy Towarzystwa; odegrano „Damy i Huzary“ Fredry: czystego dochodu było 60 marek 69 fenigów, z tego połowę przeznaczono dla pogorzelców w Stryju, a drugą połowę na przechodniów polskich przez Wrocław.

Pomoc dla ubogich. W Ameryce pomiędzy zamieszkałą tam ludnością polską tworzą się ciągle różne stowarzyszenia, mające przeważnie na celu wspieranie niezamożnych rodaków i krzewienie oświaty.

Do utworzonych niedawno stowarzyszeń zaliczyć należy stowarzyszenie w New-Yorku, mające na celu utworzenie związku federacyjnego między wielu innemi małemi towarzystwami, czyli tak zwanemi grupami.

Towarzystwo to posiada obecnie 3,870 dollarów kapitału zapasowego.

Pomiędzy członkami, którzy wnieśli dość znaczne kwoty pieniężne do kassy stowarzyszenia, są: Jerzmanowski, Dąbrowski, Grodzki, Śleszyński, Gryglaszewski i inni.

Do licznych już towarzystw „Grosza polskiego“, przybyło niedawno nowe w Clewelandzie, stowarzyszenie Polek, pod przewodnictwem pani Tylewiczowej.

Ma ono na celu, jak i inne podobne, niesienie pomocy wzajemnej.

Leon XIII liczne i wspaniałe dary otrzymuje na swój kapłański jubileusz.

Sultan i królowa hiszpańska przysłali mu, jak wiadomo, drogocenne pierścienie; cesarz Wilhelm zamierza ofiarować kosztowną tyarę, czyli potrójną koronę, a inna tyara, będąca arcydziełem złotniczego kunsztu, wypracowana przez sławnego paryzkiego jubilera Proment-Meurice'a, i kosztująca ogromną sumę, ma mu być ofiarowana przez legitymistów francuzkich.

Pewna pani angielska przysłała mu niedawno pierścień wartości 50,000 franków, we środę zaś hr. Lefebvre de Béhaine, ambasador francuzki przy Stolicy świętej, złożył papieżowi w imieniu p. Grevy'ego, prezydenta rzeczypospolitej, biuro z serwskiej porcelany i takąż przepyszną wazę.

Mówią w Rzymie o brylantami wysadzanym nieocenionym kielichu, darze cesarza Aleksandra, który ma być przywieziony z Petersburga przez umyślnego poslannika, jako też o innym niemniej kosztownym prezencie, który baron d'Andrade, poseł brazylijski przy Stolicy świętej, ma doręczyć w imieniu cesarza Don Pedra.

Ksiądz Azaryan, patryarcha katolickich ormian, przywiózł papieżowi osobliwej i przedziwnej roboty stułę, wyhaftowaną przez mniszki ormiańskie w Konstantynopolu. Widać na niej obok herbu Leona XIII wyszytą górę Ararat z arką Noego na jej wierzchołku, równającą się najpiękniejszej miniaturze. Na jej końcach wyszyte są podobnież napisy: ormiański i łaciński.

Rezultaty równouprawnienia kobiet. Wychodzący w Nowym-Yorku dziennik „Nation”, ogłosił ciekawe statystyczne szczegóły, tyczące się równouprawnienia kobiet w niektórych stanach półn. Ameryki.

Przyznane przed ośmiu laty w stanie Massachusetts kobietom prawo głosowania przy wyborach członków komitetów szkolnych, przestało je tak dalece interesować, że na 347 miast tego stanu, w przeciągu powyższego czasu, w 200 z nich nie korzystała ani jedna kobieta. W 147 zaś w pierwszym roku głosowało ich wiele, w drugim mniej, w następnych liczba głosujących kobiet coraz się zmniejszała, tak że korzystanie z prawa, które w początkach bawiło je jako nowość, dziś powoli przechodzi w zapomnienie.

Przed przyznaniem prawa głosowania, zawsze zasiadało kilka kobiet w komitetach szkolnych Bostonu, z mocy mianowania: od czterech zaś lat przestały one podawać swe kandydatury i obecnie nie zasiada ani jedna.

Realizm na scenie. Towarzystwo Meiningeńczyków poniosło w ostatnich dniach zeszłego miesiąca w Berlinie wielką klęskę. Przedstawiono tragedyę Byrona „Marrino Faleri”, w której bohater ginie tragiczną śmiercią na scenie; jednakże według osnowy utworu angielskiego poety, sztuka ma się kończyć z chwilą śmierci bohatera w ten sposób, że publiczność aktu stracenia na scenie nie widzi. Towarzystwo jednakże przedstawiło i chwilę stracenia bohatera z cynicznym realizmem; publiczność zmuszoną była patrzéć na cały akt wstrętnej egzekucyi. Przeciw podobnemu wykonaniu utworu Byrona, podniosła gorące zarzuty krytyka berlińska, karcąc ostro podobny rodzaj przesadzonego realizmu.

Być wyrzuconym z przedstawienia własnego dramatu, rzecz to z pewnością przytrafiająca się nader rzadko, a nieprzyjemność ta spotkała Henryka Laubego, który był nietylko recenzentem teatralnym, ale i autorem dramatycznym.

Znany w Wrocławiu aktor, Kunst, wybrał na swój benefis jedną ze sztuk Laubego p. t.: „Gustaw Adolf”, która została wygwizdaną, o czem zresztą Laube zawsze z zadowoleniem opowiadał. On sam stał podczas widowiska w krzesłach, a po-

nieważ spostrzegł, iż dokoła domyślano się, że on jest autorem, chcąc publiczność w błąd wprowadzić, zaczął głośniej niż inni gwizdać i bębnić. Obok Laubego stał niezwykłej siły i dużego wzrostu rzeźnik nazwiskiem Wolf, któremu sztuka podobała się widocznie, gdyż rozgniewany gwizdaniem sąsiada, szorstkim tonem nakazał mu milczenie. Laubego zakaz ten ubawił wielce i wpłynął na tem silniejsze bębnienie; wówczas zniecierpliwiony rzeźnik nienamyślając się długo schwycił Laubego za kołnierz, podniósł go w górę i śród niesłychanej uciechy publiczności wyniósł z teatru.

* * *

Dwie świekry. W tych dniach hrabina Paryża po niejednokrotnych niesnaskach ze świekrą swej córki, królową portugalską, opuściła Lizbonę. Etykieta wymagała, aby władczyni kraju odprowadziła dostojnego gościa na dworzec kolejowy. Aby tedy uniemożliwić wszelkie czulsze zbliżenie się podczas sceny pożegnalnej, obie panie zaopatrzyły się w dwa wielkie otwarte parasoliki, których obwód pozwolił zaledwie na podanie sobie końcy palców w odległości czterech kroków. Manewr ten przeprowadzony został konsekwentnie do końca: hrabina Paryża z otwartym parasolikiem wsiadła do wagonu, a królowa portugalska zamknęła swój dopiero gdy pociąg ruszył. Dla wtajemniczonych strategiczny wybieg dwóch świekr, był w zupełności zrozumiałym.

* * *

Znany kompozytor muzyczny Cherubini, zamiłowanie porządku posuwał aż do śmieszności.

Każdy przedmiot jego garderoby oznaczony był numerem i używany był w kolejnym porządku.

Raz kazał podać sobie chustkę i gdy służący mu ją przyniósł, rozwinął, zobaczył numer i oddał napowrót, mówiąc:

— To nie ta, dałeś mi numer 8, a ja nie miałem jeszcze 7.

Tak jest — odpowiedział służący — ale na numer 7 padła kropla wody kolońskiej, a pan nie może znosić silnego zapachu.

— Porządek musi być zachowany przedewszystkiem — rzekł Cherubini. I kazawszy podać sobie chustkę oznaczoną nr. 7, użył jej z widocznym wstrętem, następnie oddając ją powiedział:

— Ponieważ użyłem już nr. 7, to możesz mi teraz dać numer 8.

* * *

Dwóch urzędników pokłóciło się z sobą w pokoju naczelnika swego, jeden z nich rozgniewany krzyknął nieparlamentarnie:

— Osioł pan jesteś!

— Doprawdy?

— Tak jest, osioł!

— Pokaż mi pan większego osła od siebie? — krzyknął drugi.

— Panowie — odezwał się naczelnik — widocznie zapomnieliście, że ja tu jestem.

* * *

— Czy to prawda Wojciechu, że wam żona umarła?

— A jużcić, zmarło się biedaczce, proszę jaśnie pani, ale i drugie nieszczęście na mnie spadło.

— Cóż takiego, czy dziecko?...

— Ej! gorzej, bo mi jedyna krowa zdechła a kupić drugiej nie ma za co.

— No toć to znów szkoda a nie nieszczęście.

— O! nieszczęście, nieszczęście, proszę jaśnie pani — potwierdził Wojciech potrząsając głową.

— Przecieć macie tylu krewniaków zamożnych, to wam pomogą.

— Jużcić pomogą, bo mi już rają żonę, ale krowy żaden dać nie chce.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Wydane nakładem księgarni A. Gruszeckiego.

Wyprawa SS. Rogozińskiego, żegluga wzdłuż brzegów Zachodniej Afryki na Lugrze: Łucya Małgorzata.

Król Salomon, poemat liryczny w trzech pieśniach, przez Włodzimierza Zagórskiego.

Z tajemnic Wschodu, obrazki i szkice przez Sahi-Beja.

Szkapa (Die Klatsche) z oryginału napisanego w żargonie żydowskim przez Abramowicza, przełożył i objaśnieniami opatrzył Klemens Junosza.

O poezyi polskiej w XIX stuleciu, trzy odczyty Jerzego Brandes, tłomaczenie z oryginału duńskiego przez J. S.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się arkusz z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Апрѣля 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 20.

N. 1 i 28. Suknia z długą draperyą.

Odrobiona z jasno zielonej materyi faille i ciemno zielonego aksamitu; draperya przednia ma z lewej strony bryt 98 cent. długi, 145 szeroki, w górze sfałdowany i wszyty w pasek, z prawej strony dany bryt równie długi lecz tylko 85 cent. szeroki, w górze zmarszczony i wszyty w pasek, poniżej zaś podpięty rozetą aksamitną, podług ryc. 1. Upięcie tylne składa się z trzech brytów, po 50 cent. szerokich 128 cent. długich zszytych z sobą, w górze zmarszczonych i wszytych do paska; bufy widoczne na ryc. 1, tworzą się przez zmarszczenie wzdłuż na szwach, w odstępie 22 cent. od góry. Przybranie wykroju stanika i rękawów wskazują ryciny.

N. 2 i 6. Suknia z pokryciem koronkowem. Patrz ryc. 43 w N-rze 21.

Rycina 2 w N-rze dzisiejszym i ryc. 43 w N-rze 21 przedstawiają strojną czarną suknię, uszytą z materyi surah i koronki czarnej 125 cent. szerokiej. Na spódnicy z surah zakończonej wolantem 8 cent. szerokim, przysłoniętym falbaną koronkową 18 cent. szeroką, przykrycie koronkowe upięte jest w kształcie długiej tuniki. Brzeg górny upięcia z tyłu przypina się na baskinie stanika, z przodu zachodzi pod pasek bawetowy szmuklerską robotą, idący od boków stanika, który przedstawiamy oddzielnie na ryc. 6. Koronka pokrywająca stanik z materyi surah z przodu nie zaszywa się w zaszewki, lecz rozciąga gładko na dopasowanym do figury staniku; brzegiem przodów przy kamizelce naszyty dżetem (25 cent. długiej, w górze 15 cent. szerokiej) zakłada się w trzy fałdy.

N. 3. Przykrycie na krzesło. Wyszycie na siatce.

Środek przykrycia zajmuje pas siatki wyszytej kolorowemi jedwabiami, podłożonej atłasem, z boków ujęty w ramę pluszową, u dołu zakończony frendzlą z kulek. Na tle z białej siatki ładnie odbija wyszycie białe ze złotem.

N. 4 i 11. Serwetka podłużna. Haft i kratka ażurowa.

Tło stanowi mocne nie bielone płótno domowej roboty, na którem grubą bawełną białą obwodzi się kratkę i wyszywa ściegiem płaskim gobelinowym a desenik ściegiem plecionym wyszyty bawełną niebieską. Zamiast ściegu plecionego można wyszywać krzyżykami. Rycina 11 daje w naturalnej wielkości część deseniu; kratka ażurowa wyszyta w kwadraciki ściegiem zwanym point d'esprit.

N. 7 i 10. Teka z przyborami do pisania. Deseń wypalany na drzewie.

Dwie deseczki drewniane (z drzewa gruszkowego lub klonu) po 33 cent. szerokie, 40 długie, stanowią zwierzchnią oprawę teki tekturowej, oklejonej brązowym atłasem. Wypalanie odbywa się za pomocą sztyftu platynowego rozgrzanego do czerwoności; kontury odznaczają się mocno, cienie zaś nadają przez delikatne dotykanie sztyftem do powierzchni drzewa. Wypalając ciemne tło trzeba mocno rozpalony sztyft szerokim końcem przycisnąć mocno na jednym punktcie i szybko oderwać, lub też w niektórych miejscach przesunąć okrągławo, przez co utworzy się deseń tła widoczny na ryc. 10, w naturalnej wielkości.



N. 1. Suknia z długą draperyą. Stanik patrz rycinę 23.

N. 2. Suknia z pokryciem koronkowem. Patrz r. 6 tudzież ryc. 43 w N-rze 21.

N. 9. Fartuszek z wyszyciem krzyżykowem.

Może być z materyału kanwowego, z pasów tkanych na warstaciku lub kanwy de congrés; wyszycie krzyżykowe dane kolorową bawełną; górny brzeg fartuszka wszyty w pasek 3 cent. szeroki, dolny zakończony frendzlą. Kokarda z atłasowej wstążki.

N. 12—13. Bransoletki.

Jedna wyrobiona nakształt wstążki, druga w formie grubego łańcuszka, ozdobione są rozetami z drogich kamieni.

N. 14. Wachlarz spacerowy.

Wachlarz dużych rozmiarów, w oprawie stalowej, oklejony materyą ozdobioną malowaniem, ma w górze dodane duże kółko dla dogodnego założenia na rękę.

N. 15—16. Płaszczyk z przypinaną dolną połową.

Chcąc krótkie letnie okrycie dolmanowe zamienić w dniu dżdżystym lub chłodnym na długi płaszczyk, dodaje się do niego podług ryc. 16 oddzielnie uszytą część dolną, przypiętą od spodu w pasie na guziki, której brzeg górny wszyty w pasek 92 cent. długi, opatrzony w odstępach 10 cent. dziurkami, odpowiedniemi do guzików przyszytych do okrycia o 3 cent. poniżej wcięcia stanu.

N. 18—19. Płaszczyk długi z kapturkiem.

Uszyty z korciku w paski, przybrany jest materyą jedwabną, użytą na środek i wykłady do kapturka, na końce szalowe wysuwające się z pod kapturka z przodu, 71 cent. długie, założone w fałdy 7 cent. szerokie i na obłożenie do rękawów. Sznury jedwabne zakończone grelotkami szmuklerskiemi, stanowią przybranie.

N. 20—21. Paletot długi z kapturkiem.

Krój długiego paletota znajdą czytelniczki na dodatku z krojami do N. 19 Tyg. Mód z r. p. Pod luźne plecy daje się podszewkę wciętą do figury (sięgającą tylko po za wcięcie stanu) do której materyał zwierzchni przymarszcza się trzy razy. Na zszyciu boczków z plecami wpuszczone są patki, zapięte guzikiem na środku pleców. W kapturek dany plusz złotawo brązowy.

N. 22. Stanik z dwojakiego materyału.

Odpowiedni do sukni z materyału wełnianego i aksamitu ma przody boczki i rękawy aksamitne, zaś drugie boczki i plecy z wełny, zdobne w górze aksamitem i pasmanteryą.

N. 23 i 30. Stolik zdobny malowaniem i haftem.

Boczne ścianki stolika brązowo bejcowanego, ozdobione są malowaniem, siedzenie zaś pokryte haftem, wykonanym na brązowej flaneli. Gałązka kwiatu słonecznika, którego półrozwity pączek w naturalnej wielkości przedstawia ryc. 30, haftuje się ściegiem płaskim.

N. 24—27. Trzewik spacerowy i pończochy kolorowe.

Trzewik do kostyumu spacerowego odrobiony jest z korciku i skóry; pończochy kolorowe wyrabiają w rozmaite desenie, paski, kwadraty prążki i t. p.

N. 29. Kosz do papierów.

Dwie boczne ściany kosza pokryte są z wierzchu fałdowanym pluszem podpiętym bufiasto rozetą pluszową, zachodzącym brzegami na dwie drugie ścianki, środkiem których dane pasy haftowane na materyi jedwabiem i sznureczkiem złotym, w górze 13 u dołu 8 cent. szerokie. Środek kosza pokryty kaszmirem; pałączki okręcone pluszem i zdobne pomponami.

N. 31. Kołnierzyk szydełkowy dla dziecka. Patrz ryc. 14—15 w N-rze 21.

Na ryc. 14 i 15 w N-rze 21 damy w naturalnej wielkości próbki roboty szydełkowej na kołnierzyk ryc. 31; tło w muszki przyrobione jest do szerokiej torsadki ażurowej, do której z drugiej strony dorabia się koronkę brzeżną. Wykrój szyi zakończony ząbkami podług ryc. 14. Zaczynając robotę kołnierza trzeba najpierw dopasować formę z papieru, przyfastrygować na niej torsadkę i podług niej stosować robotę szydełkową.

N. 32 Kapotka koronkowa z rondkiem z perełek.

Przybrana koronką, bukietem astrów i wstążką koloru zielonawo niebieskiego; do wiązania końce z szerokiej czarnej repsowej wstążki.

N. 33. Kapotka dla młodej osoby.

Odrobiona z kolorowego aksamitu i z materyi tkanej ażurowo, przybrana szeroką wstążką z pikotami.

N. 34. Sukienka z kaftanikowym stanikiem. Krój dopasować podług ryc. 9 w N. 5 Tyg. Mód.

Stanik wykończa się oddzielnie a marszczona kamizelka z materyi surah przyszyta jest do staniczka z podszewki, do którego także przyczepia się spódniczkę, ułożoną w kontrafałdy. Szarfa jedwabna liczy 24 cent. szerokości, 58 długości i ma końce wysiepane, przewiązane w kwaściki.

N. 35. Sukienka bluzkowa, dla małej dziewczynki.

Odrobiona z kaszmiru i takiegoż aksamitu, odpowiednia jako ubranie domowe lub do gimnastyki, w drugim razie szyje się z płótna lub bawełnianego materyału.

N. 36. Suknia z kamizelką.

Do czarnego draps de dames kamizelka i mankiety dane z materyi kolorowej, przerabianej w deseń nitką srebrną. Przody zapięte u dołu na dwa rzędy guzików, mają ranwersy na ramionach przypięte guzikami.

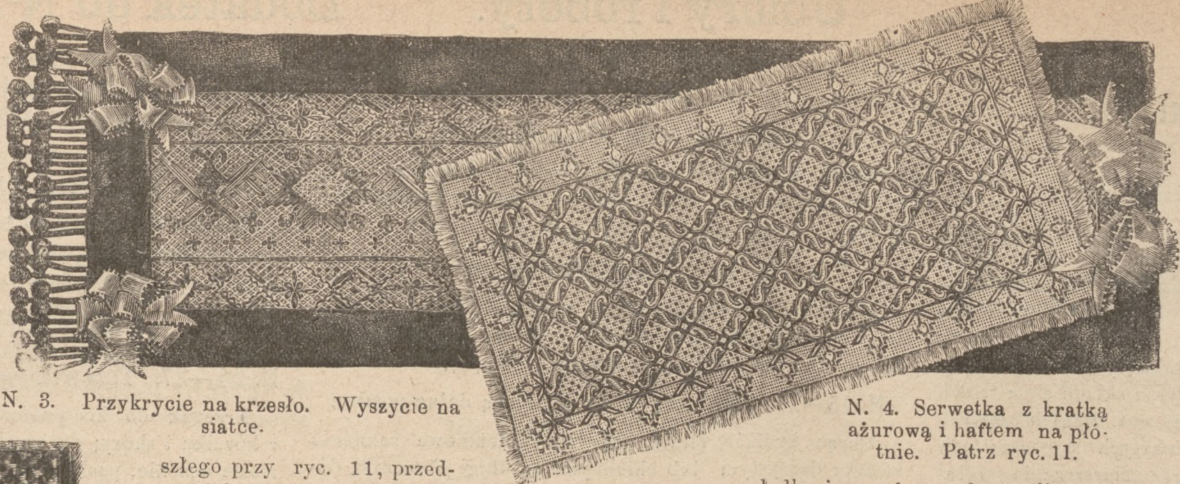
N. 37. Stanik z żabotem.

Środek żabotu stanowi kawałek atłasu białego podłożony sztywnym muślinem, pokryty gazą fałdowaną, przedzielaną pukielkami z wąziutkiej wstążki. Brzegi podstawy otacza wstążka z pikotami $5^{1}/_{2}$ cent. szeroka, 128 c. długa, z przodu u dołu podłożona w podwójne pukle.

Opis do N-ru 21.

N. 1. Szlak ściegiem łańcuszkowym węgierskim.

Wyszyty jest grubą pąsową bawełną na tle z szarego płótna; kontury deseniu wyrysowanego na tle odrobione są ściegiem łańcuszkowym węgierskim, podobnym do podwójnego dziergania. Szczegółowy opis ściegu daliśmy w N-rze 9 z roku przeszłego przy ryc. 11, przedstawiającej wyszycie w powiększeniu. Tło w figurach zapełnia się supełkami, ściegiem sznureczkowym, cierniowym i t. p. Do łączenia figur służą pająjczki i pręciki dziergane.



N. 3. Przykrycie na krzesło. Wyszycie na siatce.

N. 4. Serwetka z kratką ażurową i haftem na płótnie. Patrz ryc. 11.



N. 7. Teka z przyborami do pisania. Wypalanie na drzewie patrz ryc. 10.

N. 2. Koronka haftowana i wyszyta perełkami.

Deseń narysować trzeba na perkalu do którego z wierzchu przyfastrygowywa się tiul; haft dany ściegiem płaskim, jedwabiem, przejmując i za perkal, który po skończeniu haftu wycina się starannie z pod tiulu. Perełki dla mocy naszywa się nićmi.



N. 5. Guzik szmuklerski do wetement.

N. 6. Pasek szmuklerski do ryc. 2.

N. 3. Stanik przybrany guziczkami.

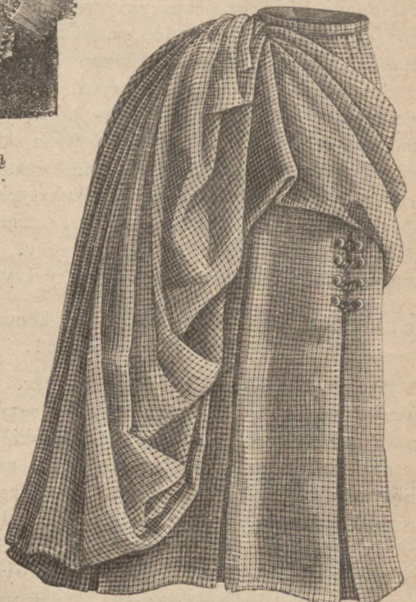
Przody stanika zakończone wązkiem plisowaniem z gładkiej materyi, zdobne są trzema rzędami guzików, dwojakiej wielkości, łączonemi pentelkami z jedwabnego sznureczka.

N. 4 i 12—13. Chusteczka z włóczki crêpe de chine, robiona na drutach.



N. 9. Fartuszek z wyszyciem krzyżykowem.

Rycina 4 przedstawia chusteczkę robioną na cienkich drewnianych drutach, z nowego rodzaju włóczki *crêpe de chine*, odznaczającej się miękkością i lekkością. Rycina 13 przedstawia w naturalnej wielkości nitkę włóczki, skręcaną z dwóch włókienek odmiennego koloru, przerabianą w wypukłe pączki. Robota chustki zaczyna się od jednego rogu na 5 o. i robi rzędami, tam i napowrót, gładko, zawsze zdejmując pierwsze oczko nieprzerobione. Przybiera się oczka w każdym rzędzie, robiąc w czwarte o. dwa razy, 1 o. gładko i 1 o. kr.; gdy trójkąt dojdzie do potrzebnej wielkości, gubi się oczka w każdym rzędzie zrabiając czwarte z piątem. Ostatnie 5 o. na ostatnim rogu chusteczki trzeba zakończyć. Brzegi obrabia się koronką szydełkową lub zakończa frendzlą.



N. 8. Suknia z krótką draperyą. Opis w N-rze 21 przy ryc. 47.

N. 5—6. Sukieneczka z szalowym kołnierzem.

Długi kaftanikowy stanik, z 6 cent. szerokim szalowym kołnierzem i szeroko otwartemi przodami, dopełniony jest kamizelką, zapiętą środkiem na kryte haftki, 38 cent. długą, po 26 szeroką, u góry zmarszczoną kilkakrotnie i wszytą w kołnierzyk stojący, u dołu opuszczoną w bufę. Kamizelka szyje się z tego co spódniczka materyału na ryc. 5 jest w kratkę niebieską



N. 10. Wypalanie na drzewie, do ryc. 7.

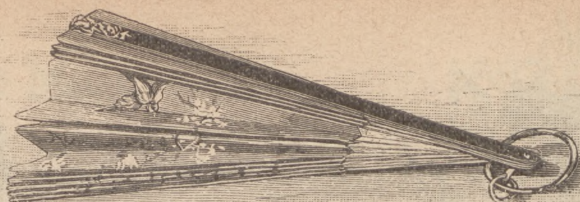
N. 11. Część deseniu do ryc. 4, kratka ażurowa i haft na płótnie. Wielkość naturalna.

z białym, złożona w kontrafałdy po 11 c. szerokie, 260 cent. szeroka, 27 c. długa. Dolny brzeg stanika zakończa wypustka, pod którą przyszyte plisowanie, 13 cent.

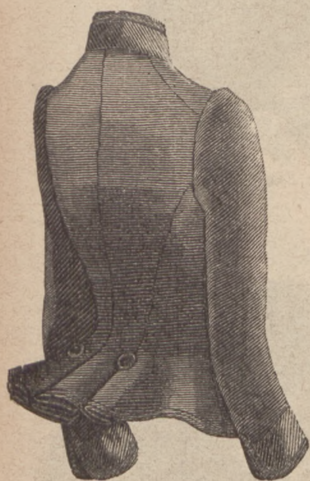


N. 12. Bransoletka wyrobiona nakształt pletni.

N. 13. Bransoleta w formie łańcucha.



N. 14. Wachlarz spacerowy.



N. 17. Paletocik krótki.



N. 15—16. Płaszczyk z przypinaną częścią dolną.



N. 18—19. Płaszczyk z kapturkiem.



N. 23. Stołek drewniany żłobny malowaniem i haftem. Patrz r. 30.



N. 20—21. Paletot z kapturkiem.



N. 22. Stanik z dwojakiego materyału.

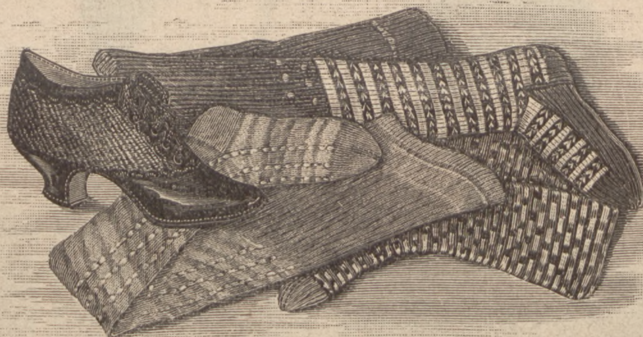
szerokie, otwarte z tyłu u dołu pleców, pod kokardą ze skosu 24 cent. szerokiego. Rękawki z materyału w kratę mają w górze gładkie epolety 10 cent. długie.

N. 7—8. Sukienka z marynarskim kołnierzem.

Odrobiona jest z materyału wełnianego białego i w paski białe z pąsowym; przody stanika w paski mają kamizelkę białą fałdowaną, której lewa połowa kraje się w jednym ciągu z częścią panier, 50 cent. szeroką. Plecy są także z dwojakiego materyału; części z materyału w paski podchodzą pod kontrafałdę z białego materyału; dwa duże guziki szmuklerskie przyszyte na wcięciu stanu. U dołu pleców dana szarfa 36 c. szeroka, z dwojakiego materyału. Spódniczka z podszewki 128 cent. szeroka pokryta falbaną w paski, 33 cent. długą, 225 cent. obwodu mającą zmarszczoną w górze i przyszytą szwem odwracanym do brzegu stanika. Środek kamizelki, brzeg kołnierza i mankietów zdobi wyszycie ściegiem cierniowym, pąsowym jedwabiem. Kokarda z wstążki pąsowej atłasowej 4 cent. szerokiej.

N. 9. Pudełko na fotografie.

Drewniane pudełko 35 cent. długie, 20 szerokie, 8 głębokie ma wieczko na ruchomych zawiaskach



N. 24—27. Bucik spacerowy i pończochy kolorowe.



N. 28. Stanik do sukni ryc. 1.

i ozdobione jest płaskorzeźbą lub deseniem wypalanym.

N. 16—19. Paletot dla panienki lat 6—8.

Między szalowym kołnierzem a zakładą środkiem której zapina się paletot, podłożone są gładkie części pluszowe; krając prawą połowę przodów trzeba naddać materyału na założenie kontrafałdy, 6 cent. szerokiej. Plecy odcięte dopełnione są przymarszczoną prostą częścią dolną, na szwie dane opasanie z grubego sznura.

N. 17 i 18. Płaszczyk z pelerynką, dla panienki lat 8—10.

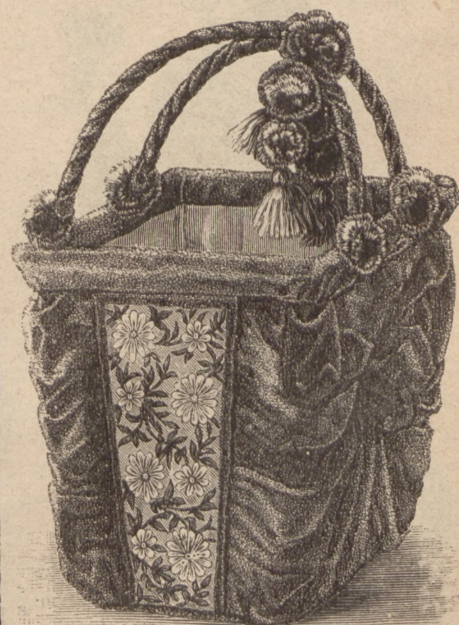
Liczy z przodu 78, z tyłu 85 cent. długości, u dołu 175 cent. obwodu, plecy odcinane dopełnione są brytem 50 cent. długim, 55 szerokim. Peleryna tworząca zarazem rękawy, ma brzegi przednie podszyte szeroko materyą kolorową, z wierzchu wywinięte są ranwersy objęte wypustką pluszową i przyciśnięte guzikami. Środkiem pleców naszyty klin pluszowy. Wykrój szyi z tyłu wszyty gładko w pasek 5 cent. szeroki zaś brzegi przednie peleryny są do 9 cent. zmarszczone i podwleczone wstążką 6 cent. szeroką związaną z przodu w kokardę.

N. 20—22 i 56—58. Kapelusze letnie.

Rycina 20 przedstawia wielki okrągły kapelusz robiony ażurowo szydełkiem z cieniutkiego łyczka, brązowego koloru; cały fason podszyty jest jasno żółtą materyą. Oryginalny fason Bolero ryc. 21 ma główkę plecioną z cienkiej pąsowej słomki, rondo zaś dodane z grubej czarnej słomki plecionej w zęby, jak to ryc. 57 wskazuje. Kapotka ryc. 22 składa się z oddzielnych słomkowych liści (patrz ryc. 58) plecionych z cieniutkiej lila słomki. Rycina 56 wskazuje



N. 30. Kwiat haftowany na flaneli. Wielkość naturalna. Patrz ryc. 23.



N. 29. Kosz do papierów.

plecionkę na kapelusz ze słomki i czarnej włosiennej pletni.

N. 23. Kapelusz dla dziewczynki.

Pleciony ażurowo z jasnej słomki, ma szerokie rondo wygięte w zęby i podszyty jest



N. 32. Kapotka koronkowa z rondkiem z perełek.

kolorową materyą; przybranie stanowi wązka wstążka i bukieciki polnych kwiatów.

N. 24—27. Wstążki jedwabne i gazowe.

Podajemy kilka wzorów modnych wstążek, przerabianych w różne desenie i zakończonych z brzegów pikotami; prócz repsowych, morowych i atłasowych bardzo używane są wstążki gazowe do ubrania sukien, kapeluszy, parasolików i t. p. w szerokości od 1—8 cent. Pierwszeństwo mają kolory lila (lewkonia, Ophelia) różowy (rose Hébé, vieux rose) brązowy (szyldkret) jasno niebieski, miedziany i zielony.

N. 28—29. Suknia z długą draperyą.

Moiré antique stanowi materyał bardzo modny w tym roku, na suknie strojne łączony z materyą jedwabną, na spacerowe z wełną. Ryciny 28—29 przedstawiają przód i plecy wspaniałej sukni z moiré antique lila hiacent i z materyi jedwabnej ottoman bladego koloru różowawo lila, przybranej złotą koronką 12 cent.



N. 31. Kołnierzyk szydełkowy dla dziecka. Patrz r. 14—15 w N-rze 21.

szeroką. Obydwa materyały dane naprzemian w szerokich fałdach plisowanej spódnicy; przedni i boczny bryt draperyi dany z ottoman, tylne bryty morowe upięte nakształt szarfy są podszyte materyą ottoman. Przybranie stanika koronką złotą i morą wskazują ryc. 28—29.

N. 30. Sukienka bluzkowa dla dziecka.

Na spódniczkę 21 cent. długą spada stanik bluzkowy przemarszczony na biodrach 5 cent. szeroko na wolant. 8 cent. szeroki. Przody i plecy marszczone w górze, wszyte w karczek, wyszywany sutaszem, podobnie jak mankiety. Wstążka atłasowa 3 cent. szeroka przewleczona jest poniżej wcięcia stanu przez otwory dane co 6 cent. i związana z boku w sutą kokardę.

N. 31—35. Parasoliki letnie.

Tegoroczna moda przyozdabia w rozmaity sposób laski u parasolików wstążką lub tiulowemi bufami, dodaje im piękne syzelowane rączki i czubki, gałki powleczone materyą, rzeźbione, wypalane w desenie, lub malowane i t. p. Parasolik (ryc. 33 i 35) pokryty materyą jedwabną w kratę, ogarnirowany koronką, ma czubek i laskę przybraną sutemi kokardami z bufką tiulową. Rycina 31 przedstawia parasolik z gładkiej materyi pokryty plisowanym tiulem i ogarnirowany szeroką koronką. Na ryc. 34 widzimy japoński parasolik z pokryciem w pasy pąsowe, niebieskie i żółte, którego laskę opasują wstążki w tych kolorach.

N. 36. Paletot dla chłopca lat 6—8.

Formę dopasować można podług krojów danych w r. przeszłym; materyał stanowi szewiot brązowy; w rękawy dana podszewka z dymki; przy lewej połowie przodu przyste-



N. 33. Kapotka z aksamitu i tkaniny ażurowej.

bnowana od spodu listewka 7 cent. szeroka z dziurkami do zapięcia na kryte guziki. Przy przecięciach na kieszonki dodane klapki 8, 9 i 13 cent. długie, zaokrąglone na rogach. Kołnierz wykładany aksamitny; brzegi paletota, mankietów i klapek objęte brązową pletnią dwa razy przestębnowaną.

(D. n.)



N. 34. Sukienka z kaftanikowym stanikiem.



N. 36. Suknia z kamizelką. N. 37. Stanik z żabotem.



N. 35. Sukienka bluzkowa.